



Andrzej Hiolski

© J. Maltarzynski

HIOL

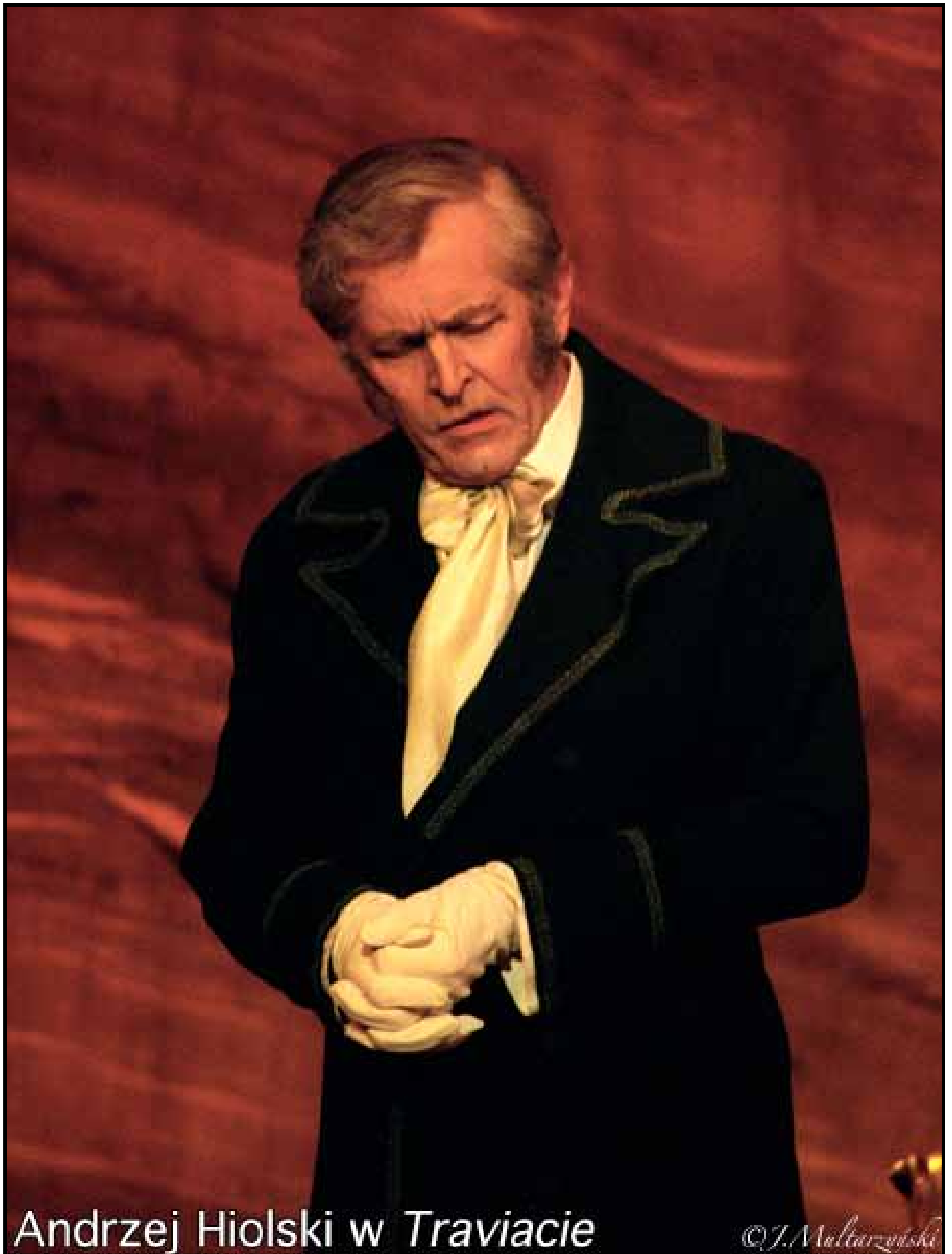
Nie będę opisywać, jak Andrzej Hiolski śpiewał, bo wielu z nas to pamięta, a inni mogą posłuchać z płyt. Jest tych płyt żałośnie mało, jak na rangę jego sztuki, ale są. Skarga Jezusa z Pasji Łukaszowej Pendereckiego „Deus meus” nie mnie jednej zrosła się nierozzerwalnie z głosem Hiolskiego. No a „Rdzawe liście strąca z drzew”, „Kochanko moja, na co nam rozmowa”, „Niemnie, domowa rzeko moja”? Wystarczy tylko pomyśleć o owych pieśniach Karłowicza i Moniuszki, a już pamięć podkłada pod te frazy brzmienie barytonu Hiolskiego. Studenci podczas wykładów z literatury wokalne (pracowałam z wokalistami) z maskowanym zniecierpliwieniem przyjmowali wiadomości o pieśniach polskich. Kiedy jednak dochodziło do przykładów z nagrań Hiolskiego, zapadała atmosfera nabożnego skupienia. Wojtek bywał rzadkim gościem na zajęciach. Kiedy wygrał krajowy konkurs, łaskawie przyszedł, przyjął gratulacje. Milkliwy zwykle, powiedział: „Ważniejsze od zwycięstwa było to, że jako laureat śpiewałem na tym samym koncercie co Hiol. Co za splendor!”

Sam Hiolski odmawiał uczestnictwa w komisjach konkursów wokalnych. Wyjątek czynił dla Konkursów Wokalistyki Operowej im. Adama Didura, organizowanych w jego ukochanej Operze Śląskiej. Trzykrotnie zasiadał tam w jury. Nie chciał też nigdy uczyć. Ale pewnego razu sensacja była już blisko. Ponieważ dużym zainteresowaniem cieszyły się kursy interpretacji muzyki Szymanowskiego prowadzone latem w Zakopanem przez Wandę Wiłkomirską, zrodził się projekt nowego kursu, poświęconego pieśniom Karłowicza. Mistrzynie perswazji z Mazowieckiego Centrum Kultury i Sztuki Małgorzata Kalicińska, cichym i łagodnym głosem toczyła z Hiolskim niekończące się rozmowy telefoniczne. Kusiła widokiem Tatr i jedyną okazją przekazania jego doświadczeń młodzieży. Wątpił w taką możliwość; sądził raczej, że samemu trzeba znaleźć sposób na dobre śpiewanie. Lecz wahał się. W nadziei na jego zgodę przygotowano folder z informacją o terminie, miejscu, warunkach i pedagogach kursu, i Hiolski złożył już w nim swój autograf. Ja trwałam w gotowości, by, kiedy Hiolski wypowie sakramentalne „tak”, pchnąć anons do prasy i do muzycznych uczelni. Nie zgodził się.

Niechętnie udzielał wywiadów. A przecież wszyscy pragnęliśmy się dowiedzieć, co robi, że śpiewa tak zwyczajnie i nadzwyczajnie zarazem. Jednak nie pamiętam, by kiedykolwiek zdradził tajniki swego warsztatu. Mnie również tego nie powiedział. Zgodę na spotkanie uzyskałam przez sąsiada. Mieszkałam w domu na Saskiej Kępie, gdzie Hiolski bywał - u rodziny lekarza zaprzyjaźnionego z byłym dyrektorem Opery Śląskiej. Ludzie z Opery Śląskiej stanowili klan, a Hiolski należał do czołowych postaci tego klanu. Przez całe lata niemal co sezon pojawiał się na scenie w Bytomiu, brał udział w celebrowanych na Śląsku jubileuszowych koncertach i przedstawieniach Halki jako Janusz, który w jego wykonaniu nie chciał być taki wredny, jak powinien...



Andrzej Holski w *Strasznym dworze*



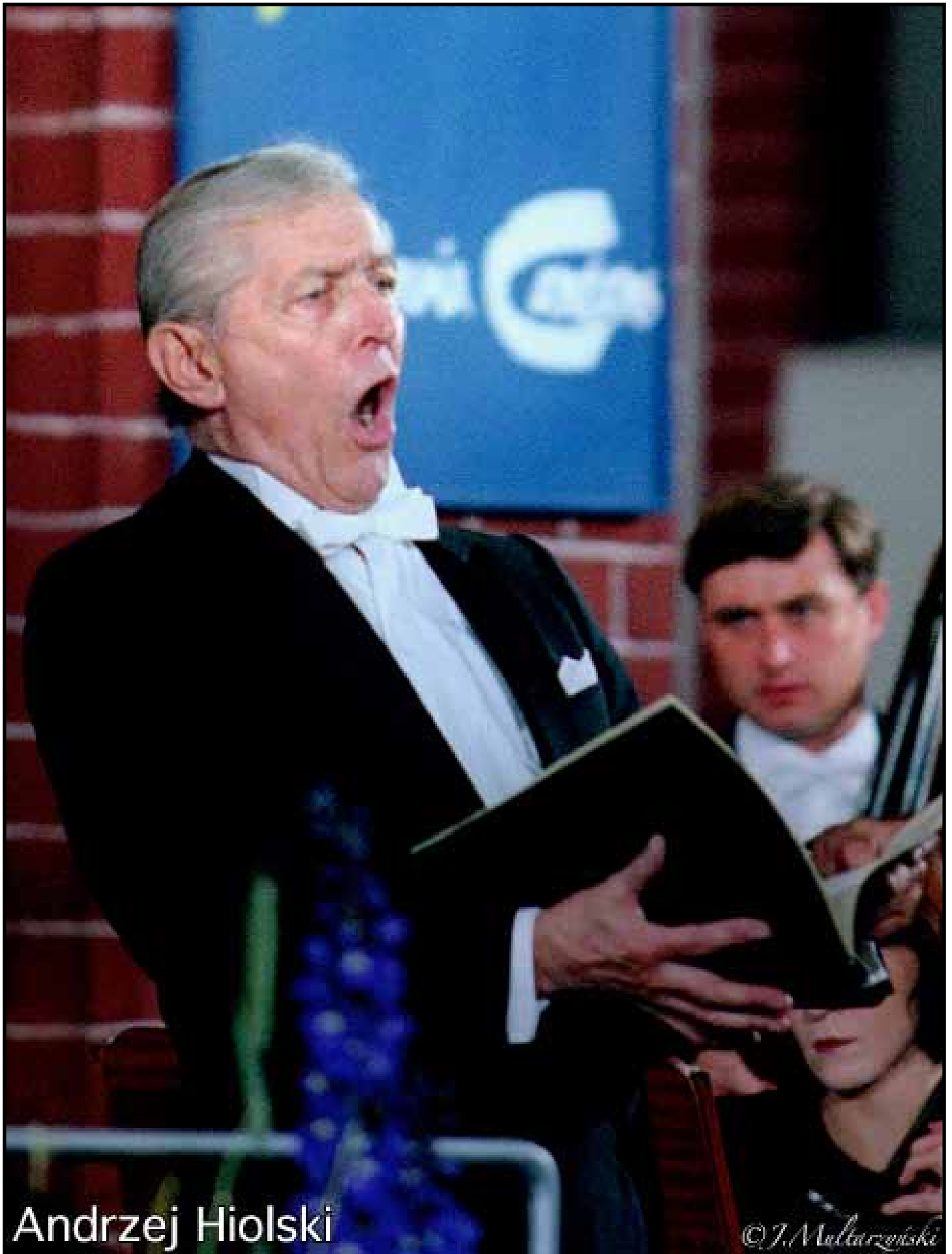
Andrzej Holski w *Traviacie*

© J. Maltarzynski

Na spotkanie ze mną przyszedł swobodny i elegancki (zawsze był elegancki - białe kożuszki, miękkie marynarki...). Mówił ciekawie, szczerze, o operze warszawskiej dość krytycznie. Zachwycona ułożyłam rozmowę i przekazałam do autoryzacji. Zgodnie z umową czekałam miesiąc. Nie dotarł do mnie jego sprzeciw, więc skwapliwie wysłałam tekst do druku. Publikowałam wtedy w „Przekroju” Rozmowy o teatrze muzycznym, i wywiad z Hiolskim miał być ozdobą cyklu. W nocy tknął mnie niepokój. Rankiem zatelefonowałam. Żona (Maria z Makowiczów, miłość młodzięcza, narzeczona zagubiona w czas wojny, odnaleziona potem na Wybrzeżu i poślubiona; matka dwojga ich dzieci) powiedziała nieprzyjaźnie: „mąż się nie zgadza, nie mówił tego, co Pani powypisywała, do niczego to się nie nadaje”. Nadałam telegram do „Przekroju”: „Proszę wstrzymać druk”.

W latach 80. tych Hiolski przyjmował czasem propozycje Krajowego Biura Koncertowego (obecnie Impresariat Muzyczny MCKiS), a ja komentowałam słowem te koncerty. Pamiętam wieczór w Błoniu koło Warszawy. Zwykle wstęp na koncerty był wolny, tymczasem przed wejściem powitało nas ogłoszenie: „światowej sławy baryton Andrzej Hiolski. Bilety - 2 złote”. Czasy były ciężkie, i nie była to bagatelna kwota. Zwłaszcza na prowincji. Tymczasem trudno wyobrazić sobie bardziej zatłoczoną salkę, niż ta w miłym dworku Poniatówka, i radość większą, niż ta, jaką Hiolski swym przyjazdem i śpiewem sprawił słuchaczom w Błoniu. Po bisach podszedł jegomość o błyszczących oczach i rumianych policzkach, cokolwiek w tzw. stanie wskazującym... „Przepraszam, ale mam w domu świniobicie i dużo gości. Przyjechałem tylko dlatego, że to pan Hiolski. Zapraszam Pana z całego serca, zapraszam Państwa - poprawił się, patrząc na naszą ekipę - gospodarstwo jest niedaleko. Wszyscy na Pana czekają. Odwieziemy potem do Warszawy”. O jedzenie nie było wtedy łatwo, drożyzna doskwierała. Nęcąca wizja powrotu z koncertową zdobyczą w postaci domowej szynki i pęt kiełbasy przemknęła mi przez głowę i zawisła wrokiem na twarzy Hiolskiego. Uśmiechnięty, i prawdziwie chyba ujęty zaproszeniem, dziękował, lecz mimo nalegań - wymówił się. Wracaliśmy samochodem w milczeniu. W uszach dźwięczał mi głos Hiolskiego. Powiedziałam: „Ależ Pan pięknie śpiewa...” „Dziękuję. Ale ile można... Nudzi już mnie to. Wciąż koncerty i występy. Chciałbym przestać”. Nie mogłam tego słuchać. Kokietował? Naprawdę czuł się znudzony?

Rzeczywiście, w tamtych trudnych czasach dyrektor KBK organizował wiele koncertów, dając utrzymanie muzykom. Odbywały się nie raz w tak niepoprawnych politycznie miejscach, jak Ośrodki Kultury Radzieckiej czy Kluby TPPR. Przyciągały sporo ludzi, wśród nich działaczki podziemia, które notowały nazwiska występujących artystów, jako kolaborantów. Moje też. Dyrektor KBK nawiązał nawet porozumienie z kierownictwem Klubu KC PZPR przy ul. Szarej na Powiślu. Szkolono tam partyjnych lektorów z całej Polski. Na koncercie inauguracyjnym zgodził się wystąpić Hiolski z towarzyszeniem Wybitnego Pianisty. Mnie dyrektor powierzył komentarz słowny. Pomysłem umuzykalniania aktywu PZPR byłam po trosze ubawiona. Żywiłam też naiwną nadzieję, że naszą tu obecnością coś wskóramy u władz dla muzyki i dla kultury. Włożyłam długą suknię - prowokacyjnie czerwoną. Wytworny Hiolski miał pąsowy pas i frak z ciemno-granatowym odcieniem. Siedzieliśmy na zapleczu. Po wargach Hiolskiego błąkał się charakterystyczny dla niego filozoficzny uśmieszek. Może czuł się podobnie, jak w



Andrzej Hiolski

© J. Maltarczyński

listopadzie 1944 roku, kiedy podczas premiery Halki (śpiewał Janusza) danej w Krakowskim Teatrze Powszechnym (Volkstheater Krakau - polnische Bühne) za zezwoleniem niemieckich władz okupacyjnych (i rządu londyńskiego) oczekiwano przybycia gubernatora Franka.

Publiczność zaczynała się gromadzić. Sytuacja była dwuznaczna, a właściwie jednoznaczna: nadciągał moment naszej hańby. Targały nami emocje - targały i rosły, bowiem czas biegł, i... przebiegł, a Wybitnego Pianisty nie było. Nie stawiał się; koncert został odwołany, co uratowało nasz honor.

Melomani świata znali jego nazwisko, ale kojarzyli słabo. Laureat Konkursu w Tuluzie (1954), lecz lwowiak i AK-owiec występował za granicą jedynie z polskimi zespołami, przy polskich solistach i dyrygentach. Na indywidualne występy gościnne przezorny PAGART wysyłał go tylko do tak zwanych wówczas wdzięcznie krajów demokracji ludowej, i ten najwyższej miary artysta śpiewał w teatrach operowych takich np. miast, jak Warna, Brno, Opawa, Koszyce, Bratysława, Nowosybirsk. Wilno, Leningrad, Praga, Budapeszt i Sofia trafiały się też, ale o Wiedniu, Paryżu, Mediolanie czy Nowym Jorku - godnych przecież jego talentu - nie było co śnić. Kiedy w 1994 roku w siedzibie Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku miałam odczyt o twórczości scenicznej Szymanowskiego, po wysłuchaniu fragmentu Króla Rogera ktoś z publiczności spytał: „Czy Hiolski jeszcze żyje?”. Odrzekłam: „Żyje. Co więcej - śpiewa, i wciąż jest najlepszy. The best!”.

Urodził się w Nowy Rok - większość encyklopedii podaje rok 1922 (i niech już tak zostanie...) - jako syn naczelnego lekarza weterynarii miasta Lwowa i zagorzałego kolekcjonera płyt. Śpiewał w kościelnym chórze i w zespole wokalnym Polskiego Radia Lwów. Pasjonował się lotnictwem, w 1939 roku zdał na studia medyczne. Wśród wojennego zamętu opuszczał Lwów ukradkiem z listem polecającym od jego profesorki śpiewu z Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego - jedynej, jak zawsze podkreślał - Heleny Oleskiej, wystosowanym do Adama Didura, który przebywał w Krakowie, a później tworzył w Bytomiu podwaliny Opery Śląskiej. W tamtym czasie nagrał - pod pseudonimami Andrzeja Boruty i Andrzeja Beauvalle dwie płyty z modnymi piosenkami. Z pewnością gdzieś się zachowały i myślę, że skoro słuchamy piosenek Derwida-Lutosławskiego, dobrze byłoby też zaspokoić ciekawość, jak śpiewał piosenki 25.letni Andrzej Hiolski?

Wiemy jak śpiewał Verdiego, Mahlera i wszelakie pieśni dobrze przekroczywszy siedemdziesiątkę. Wybrałam się raz do warszawskiego Teatru Wielkiego na *Traviatę*, gdyż dawna studentka, która wygrała najtrudniejszy konkurs w Europie i została po kontrakcie za granicą, powoli wracała do artystycznej aktywności po przykrej i długiej zapaści wokalnej. No cóż - Alfred śpiewał marnie, moja Violetta nadal borykała się z zapaścią, najlepszym zaś był najstarszy z obsady Germont, czyli... Hiolski! Rola Germonta, bezbłędna w każdym dźwięku, geście, spojrzeniu i wyrażanej emocji była ostatnią, jaką kreował na scenie. Potem jego nazwisko przyciągnęło mnie do Filharmonii. Śpiewał Pieśni wędrownego czeladnika. Początkowo głos jego niknął przy orkiestrze, lecz stopniowo treść muzyki i śpiew coraz silniej przyciągały uwagę. Miał jeszcze w sobie dość ognia, by bisować pieśnią trzecią, mocną i dramatyczną, o rozżarzonej noży w piersi. Pojawił się



Andrzej Hiolski

© J. Mularzowski

wreszcie na ostatnim swym bodaj dużym recitalu pieśni w Kościele Wniebowstąpienia Pańskiego na warszawskim Ursynowie. Po przepięknie wykonanych lirykach Moniuszki i Schuberta nie chciano go wypuścić z estrady. Jako gospodarz tego niedzielnego popołudnia poprosiłam na bis pieśń Galla Gdybym był młodszy dziewczyno. Hiolski był, by tak rzec, wrażliwy na wdzięki kobiet, i zaśpiewał to w sposób nieporównany.

Mam wrażenie, że te jego ostatnie występy przemknęły jakoś niepostrzeżenie. Wszystkim wydawało się, że Hiolski śpiewał będzie wciąż. Przecież przedstawienie *Traviaty* z jego udziałem wstawione było do repertuaru. Przecież pojechał na koncert do Krakowa i afisze wisiały na mieście, kiedy dopadła go śmierć. Kiedyś prowadząc słowem jego wieczór zażartowałam, że Andrzej Hiolski, jak Faust, podpisał z diabłem pakt o wiecznej młodości. Ach, wstrętny diable, czemuż zerwałeś ten pakt?



© *Małgorzata Komorowska*
maestro@maestro.hb.pl